

Wieczór, gdy prawie zmieniono mnie w mysz

16 listopada 2024

Jej emanująca spokojem twarz zdobiła okładki magazynów dla pań oraz czasopism pop-psychologicznych. Gościła często na kanapach telewizji śniadaniowych, gdzie aksamitnym głosem opowiadała o podróży w głąb siebie, duchowym świecie, za którym tęsknimy przecież wszyscy. Choć nie wszyscy chcemy to przyznać, nawet przed sobą. Jej książki sprzedawały się jak hot dogi w Żabce. Na pniu. Wrażliwa, delikatna, uduchowiona. Lektura pierwszego z jej poradników wycisnęła ze mnie rzekę łez. Czułam się rozumiana i czułam, że rozumiem. Każde zdanie trafiało do mnie i doznawałam olśnień, które grały mi w duszy jak kościelne dzwony.

Była trochę, może nawet trochę bardziej niż trochę, „nie z mojej bajki”. Pani z salonów, co mogłam mieć z nią wspólnego? Otóż nic. Ale z drugiej strony: czy ja zawsze muszę być prymuską z czerwoną książeczką, która zbiera punkty do lewicowości i od której na lewo jest już tylko ściana? Cokolwiek działa, jak to mówią. A jej pisanie działało, więc zawiesiłam legitymację na kołku i dałam się porwać opowieści, snutej przez osobę, która była ode mnie aż hen, na antypodach, w każdym możliwym tego słowa znaczeniu. Nie mogłam też oprzeć się wrażeniu, że co jak co, ale ta kobieta ma życie pochytane i to w stopniu, który naprawdę mi imponował. W imię ekumenizmu międzyklasowego i wychodzenia ze swej... strefy komfortu postanowiłam więc kupić bilet na spotkanie ze swoją idolką.

Organizator zapewniał, że spotkanie z bohaterką potrwa cztery godziny i że będzie to rodzaj warsztatu. Cena nie była wygórowana jak na czterogodzinne spotkanie z tak rozchwytywaną osobą. Spakowałam więc książki do podpisu i wyruszyłam. Wydarzenie odbywało się w jednym z hoteli, dość daleko ode mnie, ale czymże jest godzinna przejażdżka zbiorkomem w

obliczu tak doniosłego spotkania z kimś, kto dotknął twojej duszy?

Na miejscu ustawiłam się w kolejce do rejestracji gości płci żeńskiej, bo było to spotkanie tylko dla kobiet. Eleganckie panie, które z uśmiechem witały przybyłych, gdy już przyszła moja kolej wręczyły mi paczkę. Różową torebkę, do której nie wiedziałam, czy wypada zaglądać od razu, toteż nie zajrzałam. Podziękowałam i poszłam się rozejrzeć.

Od razu poczułam, że było tam jakby luksusowo. W powietrzu unosił się zapach zmieszanych drogich perfum. Nie trzeba być Karolem Marksem, by stwierdzić, że oto znalazłam się w mateczniku krakowskiej burżuazji. Zgromadzone panie jedna w drugą mogłyby stanowić konkurencję dla bohaterek programu „Żony Warszawy”. Czy my pod Wawelem jesteśmy gorsi? Na pewno nie! „Żony Krakowa” prezentowały się tak samo prestiżowo, a powietrze elektryzował dyskretny urok oblekającego je splendoru.

No w porządku, może wyglądałam, może czułam się i może byłam tam jak Kopciuszek w pokoju pełnym przybranych sióstr i macoch, ale za to już za chwilę przybędzie ONA i wyczaruje mi karocę z dyni czy coś takiego – pomyślałam. Moją uwagę zwróciło stoisko, na którym znajdowała się jakaś tajemnicza maszyneria. Trochę przypominała stół, na którym powołano do życia Frankensteina. Wszystko zaczynało nabierać coraz bardziej surrealistycznych treści i formy.

Zajęłam miejsce przy jednym z okrągłych stolików, takich, jak na amerykańskim weselu. Przynajmniej na filmach zawsze tak to się przedstawia. Zaproszone osoby, jak się szybko przekonałam, znały się. Pozdrawiały się i wymieniały kurtuazyjne zdania. Ja byłam tam sama i było mi coraz bardziej nieswojo.

W końcu doskonale prezentująca się kobieta około pięćdziesiątki wyszła na środek i zaczęła spotkanie. Najpierw zwyczajowe podziękowania dla sponsorów, których było wielu.

Później przedstawienie agendy wydarzenia. Właśnie wtedy okazało się, że osoba, dla której tu przybyłam w swoim zgrzebnym odzieniu rozklekotanym autobusem, wystąpi na sam koniec. Wcześniej dane mi będzie doznać atrakcji takich jak: spotkanie z kołczem talentów Gallupa – to taki test, który święci tryumfy na równinach open space'ów, dzięki któremu managerowie dowiadują się, jakie mają talenty i jak je mogą rozwijać. Sama z czystej ciekawości wykonałam kiedyś ten test i byłam nawet ciekawa, co może mi na ten temat powiedzieć osoba, które zawodowo się tym zajmuje. Następnie pojawiła się pierwsza z, nieoczekiwanych w tak liberalnym towarzystwie, czerwonych flag: spotkanie z chirurgiem plastycznym na temat akceptacji siebie i budowania poczucia własnej wartości. Opadło mi wszystko, co tylko mogło to uczynić. Dowiedziałam się także, iż łóżko Frankensteina to właśnie z tej kliniki chirurgii plastycznej. Służyło do jakiegoś magicznego, nie wiem jakiego w zasadzie, ale to nieważne, poprawiania własnej urody. Podczas całego spotkania można było darmowo spróbować tego wynalazku szatana. Rozejrzałam się oczami rozmiaru pięcioletówek. Na żadnej z twarzy nie dostrzegłam zdziwienia, zażenowania, czy też innego stanu ducha, który mi w tamtej chwili wydawał się tak naturalny, jak oddychanie.

Na koniec wstępu prowadząca podziękowała ostatniemu ze sponsorów, który dostarczył tajemnicze różowe pudełka. Skomentowała mrugając porozumiewawczo i uśmiechając się znacząco, że: „będzie to coś, co umili wam na pewno jesienne wieczory”. Nie wytrzymałam, zajrzałam do torebki, tak zrobiła zresztą większość kobiet na sali. Wibrator. Każda osoba otrzymała taki właśnie gadżet. Po pomieszczeniu potoczył się śmiech, jak lawina w górach, z początku cichy niczym strumyk, stopniowo coraz głośniejszy, aż do ryku. Kobiety zaśmiewały się, pokazywały sobie, jaki kolor im się trafił i biły brawo. Mój mózg eksplodował i poczułam się jak bohaterka starego filmu, który pamiętałam z dzieciństwa. Był tam chłopiec, którego czarownice zamieniły w mysz. Była też taka scena, gdy na zgromadzeniu czarownic, które – o zgrozo – miało miejsce w

hotelu, wiedźmy ujawniały się zdejmując maski i peruki. No shit.

Gdy już powoli żegnałam się ze swą ludzką postacią, na scenę wkroczyła bojowym krokiem, pewnie i dumnie pani kołcz. Gadu gadu, nic specjalnego. Szczerze mówiąc, jej pogadanka spłynęła po mnie jak po kacze. Nie zapamiętałam nic. Prócz przeczucia, graniczącego z pewnością, że ona tu przyszła tylko po to, by wyhaczyć klientki na swoje usługi. Sposób, w jaki ostentacyjnie taksowała każdego, jakby oceniając stan jego konta, zdradzał wszystko. Dość stwierdzić, że choć niespecjalnie miała cokolwiek do powiedzenia, po zakończeniu przemowy ustawiła się do niej całkiem pokaźna kolejka. Pomyślałam, że jeżeli się samemu ciągle udaje, to tym samym jest się podatnym na dawanie wiary ułudzie. Trudno, żony nie zbiednieją, a kimże ja byłam, by im mówić, na co mają przeznaczać swe majątki?

Porzuciłam wszelką nadzieję, ale zostałam na miejscu, bo było to wszystko ciekawe w swej dziwaczności. Najdziwniejsze zaś było to, że tylko ja tak to odbierałam. Inne osoby były z tym nie tylko w jakiś sposób pogodzone, ale wręcz wydawały się zadowolone i wcale nie zmieszane tym, co się działo. Dzień jak co dzień.

Po przemowie kołczki scenę przejęła asystentka chirurga plastycznego. Teraz nagle wszystko złożyło się w jedną całość. To naprawdę było łóżko Frankensteina, a osoba, która stała na scenie, spędziła na nim najwyraźniej długie godziny. Zrobiona od A do Z. Napompowana botoksem tak, że zdawało się, że zaraz odfrunie jak balon na gorące powietrze. Wyglądała jak antyreklama jakichkolwiek ingerencji chirurgicznych. One jednak przyjęły ją jak swoją.

Dysonans poznawczy, którego doświadczyłam, gdy się odezwała i zaczęła mówić o tym, że najważniejsze, to siebie akceptować i kochać takim, jakim się jest, sprawił, że parsknęłam śmiechem. Spotkało się to z oburzeniem ze strony kobiet siedzących przy

moim stole. Od razu posłały mi karcące spojrzenia i krzywiły się z dezaprobatą.

Wszystko trwało bardzo długo. Została niespełna godzina na spotkanie, na które właściwie tam przyszłam. Byłam już w takim stanie, że gdyby bohaterka wieczoru pojawiła się w stroju klauna albo z głową jednorożca, nie drgnęłaby mi powieka. Ale nic takiego się nie wydarzyło. To była ona. Taka sama jak w prasie, internecie, jak w telewizji. Spokojna, skromna. Bez make upu. Brawa wzmogły się jak fale przypływu, który bije o skały. Nie było im końca. Ja jednak już nie klaskałam. Kto był na takim przedstawieniu, jakie oglądałam przez poprzednie trzy godziny, ten się w cyrku nie śmieje ani tam nie klaszcze.

Gdy po jakimś czasie owacje ucichły, bohaterka wieczoru zaczęła opowiadać. W zderzeniu z tym, co było wcześniej, jej słowa, tak przecież znajome, wywoływały już jednak inny efekt. Nie odniosłam wrażenia, że czuła się tam nieswojo. Przeciwnie, to był, jak to się mówi – jej target. To były panie, które stać na to, by wydać duże pieniądze na warsztaty rozwojowe, sesje czy inne usługi, które oferowała. Chciało mi się płakać. Jak się okazuje, są na tym świecie przepaści głębsze niż Rów Mariański i szczyty wyższe niż Mount Everest. A my jesteśmy po obu ich stronach i ani myślenie poza pudełkiem, ani wychodzenie ze stref komfortu, ani afirmacje, ani medytacje, ani nic w ogóle tego nie zmienia. Rytm mej rozpaczy wyznaczało miarowe pikanie dobiegające z łóżka Frankensteina, na którym ciągle trwała walka o urodę pań z wyższych sfer.

Pytania z sali były bardzo poważne i dotyczyły takich kwestii, jak na przykład co zrobić, jeśli kupiło się skafander do nurkowania, ale nie jest się wewnętrznie przekonany, że nurkowanie jest tym, co chcemy robić. Sprzedać? Nurkować mimo wszystko? Jak być w tej sytuacji z zgodzie z sobą? Ciężka sprawa. Na szczęście na każde z tych ważkich zagadnień była odpowiedź. Na moje pytanie, które zadałam trzęsącym się głosem, też była. Pytanie brzmiało, co mają zrobić osoby, których nie stać na warsztaty z uważności czy sesje

terapeutyczne po 200 zł za godzinę, bo de facto takie osoby mają problemy – i to poważniejsze niż bogaci. Na to ostatnie stwierdzenie moja interlokutorka skrzywiła się tylko. No bo przecież to, czy mam gdzie mieszkać i co jeść i za co iść do lekarza, jest równie poważne, jak kwestia skafandra, to chyba jasne...

Na moje pytanie odparła, że jest internet i są biblioteki. Odpowiedź zresztą jest tu nieistotna. Kobiety nagle wzmogły się i zaczęły mi oferować udział w kręgach, które są darmowe. Było to w pewien sposób urocze i nieoczekiwane. Nikomu nie przyszło do głowy, że nie pytałam dla siebie, że można zadać takie pytanie dla innych. Że można widzieć cokolwiek poza czubkiem własnego, pokrojonego skalpelem, nosa.

Poszłam na koniec po autograf, choć dobrze wiedziałam, że czar prysł. Że ja już do tych książek nie sięgnę nigdy. Poczułam się oszukana i mimo tego, że cały wieczór toczyłam nieustanną bekę, to mój żal, moja złość i poczucie, że oto zrobiono mnie w balona, były faktem.

Tak to właśnie upłynął wieczór, podczas którego prawie zmieniono mnie w mysz.

Autorstwo: Natalia Bała

Źródło: NowyObywatel.pl